

„PEWNEGO RAZU W GÓRACH KAUKAZU”

Ciemność, wiatr, zimno i ogromne zmęczenie. I gdzieś w tym my. Trzy postacie na filarze 5-tysięcznika Dżangi Tau w górach Kaukazu w dolinie Bezingi. To już 18-ta godzina ciągłej wspinaczki. I wciąż jeszcze sporo przed nami. Dzisiaj przystąpiliśmy do ataku szczytowego, który zakończył się wycofaniem z grani podszczytowej po przejściu głównych trudności drogi. Odwrót po długiej wspinaczce nie był łatwą decyzją. Po dwóch dniach wspinania niełatwo jest zawrócić kilkaset metrów poniżej wierzchołka. Ale i tak czujemy, że zrobiliśmy wiele na tej górze, zabrakło tylko deseru – wierzchołka.



Klinująca się lina w trakcie zjazdów, spadające kamienie, lot w trakcie wspinania to już tylko wspomnienie. Teraz staram się odciąć na moment od tego wszystkiego. Wciąż nie mogę opanować szczerzenia zębami z powodu przeraźliwego zimna. Właściwie już przestaje z tym walczyć. Głowę wtulam w taśmę łączącą mnie ze stanowiskiem, próbując znaleźć najbardziej optymalną pozycję, która pozwoli mi rozluźnić zmęczone ciało. Zamykam oczy i delektuję się tym bezruchem. Na chwile zapominam gdzie jestem i co robię. O rzeczywistości przypomina mi jedynie lina, która swobodnie miotana wiatrem nie mogąc znaleźć swojego miejsca, bezkarnie uderza we mnie co rusz. Poddaje się temu bez protestu. Nie wiem ile to trwa. Ten letarg pozwala mi zapomnieć o czekaniu. Wreszcie słyszę coraz bardziej zbliżające się dźwięki. To Adam zjeżdża na linie do mnie. Jeszcze Żenia i będziemy ponownie w komplecie przed kolejnym zjazdem. W dwójkę czas mija szybciej. Tego dnia już tyle się wydarzyło, że mamy dosyć wrażeń. Teraz jedyną myślą pchającą nas do wykrzesania z siebie kolejnych dawek energii jest myśl o ciepłym śpiworcu w namiociku gdzieś pod nami.

Wreszcie znowu w trójkę. Ponownie ręce pełne pracy. Klarowanie liny i operacje sprzętowe na chwile ogrzewają zastane kończyny. Tym razem pierwszy zjeżdża Adam. Niknie gdzieś w czarnej czeluści pod nami. Długo czekamy, aż lina się zwolni. To czekanie w czasie zjazdów jest najgorsze. Czekasz nie mając żadnego wpływu na przyspieszenie operacji.

- Ile zjazdów jeszcze? – pada krótkie pytanie Żeni.

- Chyba dwa, może trzy – rzucam optymistycznie, sam nie do końca w to wierząc.
- Już grubo po północy – burknął ponownie Żenia.
- Pewnie tak. Znowu zapanowała cisza. Nikt z nas tak naprawdę nie miał ochoty na jakikolwiek dialog.

- Patrz jakie czyste niebo pełne gwiazd – wtrąciłem przerywając ciszę.
- Przynajmniej to nam sprzyja – odparł.

Wreszcie z dołu dochodzi nas wołanie Adama - Lina wolna!

Teraz moja kolej, z ochotą zabieram się do zjazdu. Lepsze to niż stanie i zgrzytanie zębami na tym mrozie. Sam zjazd trwa dość krótko. Dojeżdżam do Adama. To stanowisko jest dość wygodne. Spora półka pozwalająca odejść nieco od ściany. Szybko wypinam się z liny i wołam - Lina wolna!

Znowu to czekanie.

Po chwili panującą ciszę przerywa Adam - Zgaś czołówkę!

Przez chwilę nie wiem o co chodzi.

Zgaś czołówkę! – ponawia Adam i wskazuje na niebo po przeciwległej stronie doliny. W ciszy i z zapartym tchem gaszę moje światełko.

- Co to jest? – zapytuje.

- Nie wiem. Bądź cicho – wyszeptuje Adam.

Stoimy tak we dwójkę wpatrzni w to coś, co staje się coraz bardziej wyraźne.

- Może to raca? – rzucam bardziej retorycznie, bo sam w to nie wierze. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Adam chyba też nie.

Wygląda to jakby zbliżająca się kula światła o barwie czerwonej przechodzącej w pomarańczową. Kula z początku wydaje się być jedynie jaśniej świecąca gwiazdą, o innej barwie. Staje się jednak coraz większa i jaśniejsza. Tworząc lunę na niebie. Wpatrując się w to dziwo nawet nie zauważam, że staje koło mnie Żenia. Mówi coś o ściąganiu liny, że się opierniczamy itd. Gdy jednak w ciszy wskazuje mu kierunek na niebie, staje bez słowa.

- Zgaś czołówkę – rzucam do niego. Dopiero w tej chwili spostrzegam, że przez ten cały czas Adam ma ją wciąż włączoną. Szybko również ją gasi.

Stoimy tak niemo wpatrując się w coś co zdecydowanie zbliża się w naszym kierunku.

- Wreszcie ktoś rzuca słowo, które każdemu z nas gdzieś kołatało się po głowie – UFO!
Chyba lecą do nas.

Jak wiele różnych myśli przelewa się przez nasze głowy. I każdy z nas upatruje w przybyciu kosmitów innej szansy.

Żenia, wiecznie głodny, że wreszcie dostaniemy coś do jedzenia. Tylko czemu tak późno!

Ja, że pewnie mają tam ciepło i zaraz będziemy mogli się ogrzać.

Adam, że wreszcie będzie to koniec tych zjazdów z przygodami, że już jest po wszystkim i nic więcej złego się dzisiaj nie wydarzy.

Cóż może zmęczony organizm wymyślić w takim momencie. Nie wiem ile tak stoimy z głowami pełnymi myśli, o tym co będziemy robić za chwilę. To UFO traktujemy jako wybawienie, wizję komfortu, a nie jakieś kolejne niebezpieczeństwo. To kolejna niespodzianka tego dnia. Jakby ukoronowanie wszystkich przygód do tej pory na tej górze. Przemyka jeszcze myśl o jakimś zagrożeniu, ze strony tego zjawiska, ale jest ona tak nikła w stosunku do wymarzonych korzyści, że szybko zostaje zgaszona.

Każdy z nas na swój sposób widzi kolejne minuty po spotkaniu z tym obiektem. Jednak wszyscy na chwile zapominamy, gdzie jesteśmy i co robimy. Niczym dzieci, które oglądając po raz pierwszy film, całkowicie zostają wchłonięci do świata fikcji.

Gdy się wydaje, że obiekt ten lada chwila będzie u nas, jego światło zaczyna blednąć przechodząc w żółte, by stać się prawie białym. I wtedy zdajemy sobie sprawę, że byliśmy świadkami najpiękniejszego wschodu księżyca, jaki w życiu widzieliśmy. Zjawiska, które było tak nadzwyczajne, że przywołało na myśl nadprzyrodzone siły. Gdy światło stało się białe dostrzegamy, że wszystko to działo się na styku nieba z granią, która zlewała się z czernią nieba. Oj, jak bardzo jesteśmy zawiedzeni. Cała myśl o wybawieniu zgasła wraz z czerwonym światłem wschodzącego księżyca. Ponownie zabieramy się do czynności związanych ze zjazdami. Jednak, każdy z nas nie może jeszcze całkiem obudzić się z tego snu o UFO.



Do naszego namiotu położonego na ostrzu śnieżnej grani docieramy około godziny 3 w nocy. Jest tu na tyle wąsko, że część namiotu wisi nad kilkusetmetrową przepaścią. To Adam śpi na tej części. Pomimo tego, zmęczenie pozwala spokojnie mu zasnąć, nie myśląc już, jak poprzedniej nocy, o wytrzymałości namiotu. Zасыpiając w ciepłym śpiworze wciąż myślami jestem przy naszym UFO. Jutro czeka nas kolejny dzień wycofywania się z tej góry. Cóż on jeszcze nam przyniesie?

tekst Marcin Hennig